





# LIST OTWARTY do tow. tow. członków Biura Politycznego KC

JANUSZ ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

## MAJDANEK

Mówię w imieniu umarłych. Gdy w czerwcu roku 44 piętnaście dni leżałem konający w bagnach jęzefowickich, umierałem głęboko przeświadczony, że naród polski właściwie oceni w przyszłości nasz wkład do dzieła zbrojnego wyzwolenia.

Po latach wyczerpującej walki ze śm.ercią i kalcetwem, dzięki ofiarnym wysiłkom ludzi, którym wyszł ko zaud.ęczam — ocalałem, po to jedynie, by być miłczącym, bezsilnym świadkiem codziennego bezczeczenia pamięci poległych i systematycznego przesładowania żywych.

W ciągu dwunastu lat, umiennie operując zatrutymi argumentami pseudo-rewolucyjnej racji stanu i pseudomarksistowskiej teorii o kulminowaniu walki klasowej, z byłych kombatanów zrobiono potencjalnych wrogów, z uczciwych żołnierzy — płatnych zdrajców, z ocalałych z okupacyjnego pogromu — zuyrodniałych zbrodniarzy i bandytów.

Na długich dwadzieścia lat przesłano ści szalenie oprami prowokacji, oszczerstw i kalumnii bolesna, nielutna sprawa żołnierzy Armii Krajowej i żołnierzy Batalionów Chłopskich — ofiarnych synów polskich usi, osad i prowincjonalnych miasteczek, wyrosłych z krwi i żywego ciała naszego narodu.

Przeżyliśmy lat w tryjgł.ę, atmosferze zakłamania, cynizmu, nieufności i podejrzeń nawarstwiających urazy, uprzedzenia i obsesje, rozwarła się i pogłębiała niestwierdzona naturalna przepaść między narodem, a tymi, którzy naród ów bezkarnie obrażali.

Październikowy przełom był spontanicznym odruchem. W dniach październikowego przełomu tow. Gomulka zdobył rzecz niezmiernie cenną — szacunek całego polskiego społeczeństwa. Wraz z szacunkiem naród polski złożył dobrociwnie w dłonie jednego człowieka swój los, swój byt narodowy i swoją przyszłość. Zrozumiała jest więc w pełni nasza obywatelska troska, nasz wspólny obywatelski obowiązek najbardziej uwagi i najżywszego zainteresowania losami owego narodowego depozytu. Rzecz oczywista, że nie mogę nam być również objętne ani mechanizm, ani sposób gospodarowania owym nieograniczonym kredytem pouzeczkiego zaufania i pouzeczkiego szacunku.

Październikowy przełom był spontanicznym spontanicznym odruchem. W dniach październikowego przełomu wielkoduszne społeczeństwo polskie odpowiedziało odruchowo i jedomyślnie na apel partii.

By przekształcić spontaniczny, odruch w nieefektowny pomnik codziennej pracy, nie wystarczy szacunek jakim cieszy się obecnie tow. Gomulka. Szacunek ten musi się rozszerzyć oraz musi objąć w najbliższej przysz-

łości całe kierownictwo partii.

Przekształcić jednorazowy impuls w nieefektowny wykonywanie codziennej pracy — to jednak mało. W naszej specjalnie trudnej sytuacji należy — a jest to bezwzględna konieczność polityczna i gospodarcza — natchnąć całe społeczeństwo polskie jednokierunkową wolą upartej, nieustępliwiej, wieloletniej walki o socjalistyczny kształt nieznanego jutra. By tego dokonać, obok szacunku zdobyć musi jednak kierownictwo partii rzecz niezwykle trudną do zdobycia: miłość i przywiązanie całego polskiego ro narodu.

Bez względu na taką czy inną linię taktyki, bez względu na takie czy inne grupowania i orientacje wewnątrz partii, jedno jest niezaprzeczalne — w państwie, w którym stosunki między narodem a jego kierownictwem układają się na płaszczyźnie wzajemnego szacunku i wzajemnej miłości, nie mogą istnieć całe grupy spychane asekurancie, ubrew wyraźnej woli oraz ubrew wyraźnym chęciem społeczeństwa, na margines aktualnej rzeczywistości.

Istnienie takich grup w Polsce Ludowej jest nieetyczne, bezspornym faktem politycznym. Niepokojące wymowy tego politycznego faktu nie zgłoszy najbardziej spontaniczne, najbardziej szczerze i najbardziej staropolskie ży-

Rozważa i przeczona lecz zdecydowana, stanowcza oraz nacechowana najlepszą wolą realizacji — resocjalizacja tych grup staje się obecnie polityczną i gospodarczą koniecznością, staje się polską racją stanu. Zaniedbanie tego procesu lub próby zamazania a pełnych niewygodnych faktów, odbić się mogą w najbliższej przyszłości tylko niekorzystnie na wspólnym dziele wielkiej Odnowy.

Drogi partii do narodu oraz drogi narodu do jego kierownictwa politycznego muszą być proste, zrozumiałe i oczyszczane z blokujących je dotychczas złych niedomówień i wstydliwych niejasności.

Głęboki niepokój budzić musi fakt, że w czasie generalnego rozrachunku z błędami i wypaczeniami przeszłości miłczący aprobują się sprzeczne z odczuciem narodu próby fałszywego podziału okresu powojennego na okres przed i po aresztowaniu tow. Gomulki. Pierwszy — wstydliwie się przemleca, drugi głośno i ostentacyjnie mianuje okresem totalizmu i berio-wszczyzny. Zapominają się przy tym łatwo, że za szacunku zastrzeżenia i głęboka nieufność do socjalizmu części polskiego społeczeństwa, korzeniami swoimi sięga niestety pierwszych lat powojennych.

W imię prawdy historycznej stwierdzić należy, jano, głośno i publicznie: w roku 44 naród polski i wyrosłe z tego narodu mosi akowskie i behowuskie nie myślały pewno wyraźnie określonego

stosunku do socjalizmu. Stosunek ten został m.azom akow skim i behowuskim świadomości i obedi.ęnym narzuconym przez działający na naszym terenie n.ęprzerwanie od 1944 roku antysocjalistyczny, reakcyjny system określony po XX Zjeździe mianem stalinizmu i berio-wszczyzny. Z systemem tym zapoznano się społeczeństwo polskie uprost i z pierwszej ręki.

W ówczesnych warunkach koniecznej dwuczłonowości oraz podwójnego charakteru narodowego cywilno-wojakowej władzy system ten działał a odczuła to w sposób szczególnie dotkliwy właśnie Lubelszczyzna — poza plecami i poza świadomością rządu i partii. Nie srowa wzięć, na pewno nieubłagana, częstokroć historycznie jednak zdeterminowana walka polskiego proletariatu o władzę, lecz stalinowski system postępujący się metodami terronu, gwałtu, prowokacji oszczerstw, determ nowal w przeważającym stopniu w owym okresie stosunek mas akowskich i behowuskich do socjalizmu. To system stalinowski zepchnął następnie część tych mas do podemia oraz rozpętał w rezultacie walkę przylatobójczą narzucając brutalizujący rezucie zdecydowanie negatywne nastawienie do nowy, formującej się w rewolucyjnej rzeczywistości.

W roku 1944-1945 na Zamku lubelskim, w prowokacji, pałali codziennie ludzie, których jedynym kontaktem: nową

rzeczywistością było ostatnie spotkanie z anonimowym oprawcą, a jedyną u.ęną — pięcioletnia walka z okupantem.

Zmarłym nikt życia nie wróci. Szczegółami kapturkowych wyroków zajmuję się niewątpliwie specjalna komisja.

Pozostają żywi... Pozostaje żmudna droga leczenia starych, ropiejących przez dwadzieścia lat ran, usuwanie urazów i uprzedzeń, długotrwała reedukacja społeczna wielu dziesiątków tysięcy zarzonych niechęć i nieufnością do socjalizmu.

Pozostaje przede wszystkim zadanie najpilniejsze: przekreślić w świadomości poważnej części byłych partyzantów szkodliwy znak równości między socjalizmem a stalinizmem, oraz wrócić utraconą na długich dwadzieścia lat Ojczyznę, tym, którzy o nią walczyli, za nią umierali, dla niej błądzili. Każda najmniejsza grupka zepchnięta na margines życia, to potencjalna baza dla urogo, materiał dla prowokacji, przede wszystkim jednak — niepowetowana strata serc, mózgow, ręk dla Polski i socjalizmu.

Umarłym zaś przywrócić dobre imię i zbeczczoszącą przez oprawców cześć. Aby społeczeństwo nasze zbył ciężo nie oduracło myśli i oczu od teraźniejszości w przeszłość.

Z tym zwracam się do Towarzystwa z Biura Politycznego KC.

ZBIGNIEW JAKUBIK  
b. żołnierz Armii Krajowej

RYSZARD GONTAŁZ

## W imieniu gruźliczych dzieci

# DO LUDZKICH SERC TYCH, KTÓRZY KIERUJĄ

Sio szesćdziesiąt siódm rodzin w wal e, e, e, gdzie w każdej chwili grozi śmierć.

Pun d dwa tysiące rodzin w płonących i suterrenach. W straszliwych, cuchnących norach, wyrzniętym, przeludnionym gruti.ę, zniekwalone krzywdy dzieci, ciężarne kobiety, zrozpaczeni bezsilni o.ęwie, dogorywający starcy. Straszliwa tragedia piwnicznych ludzi. Kto to są ci zepchnięci na dro ludzkiej nędzy iuki-nowcy? Kto i za co skazani le isty na lata nędzy i szerszych chorób?

Ob. Edward Kwiatkowski wrócił do Polski z Francji w 1947 roku. W tymże roku został powołany do wojska. Po powrocie z wojska oenił się. Obtenie ma tu na strymania dwoje dzieci i żonę, która jest w ciąży.

Kwiatkowsy mieszka przy ul. Bierackiego 1 m. 7. W maleńkiej kllce, która dzieli rodzicami Kwiatkowskiej. Tę rodzinę znał już nie tylko w Prezydium MRN. Znał ich również w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, w Komitecie Miejskim i Wojewódzkim partii. Kwiatkowski był wszędzie. Prosił, błagał, skłaniał. Ciskał w oczy odpowiedzialnych, ch towarzyszy i żonę mo.ę widnia gruźlicy d.ęci. Oskarżył wszystkich i wszystkich: Radę Narodową, Partię,

Polskę Ludową, Ojczyznę, w której e o dzieci skazano s.ę na powolne konanie. Nie skutkowało.

Kwiatkowska czekała przy śle na 4 lit trzele.ę dz.ęka. Dziecka, które zanim się narodziło skazane zostało na gruźlicę.

Ulica Wesola 7 m. 3. Straszne jest życie rodziny Nogalów przy ul. Wesolej. Wieje groza z ciemnej, cuchnącej piwnicy. Groza wygłada z blizszej k.ęci ogardki oczu dzieci Nogalów. Dzieci są ciche. Nie skargą się. Nie wie-

Osty porosty dym smród spalonego ciała postrzępione modły wstę.ę...  
Świec...  
sie...  
twoje...  
Imię...  
w krematoryjnym dymie czyjaś dusza do nieba leciała ale niebo też nur fir dołże wróciła dusza na ziemię i w dymie drzemie osty porosty dym  
kocham je bardziej niż kwiaty.



EZRA POUND

## NIEŚMIERTELNOŚĆ

Splewajmy o miłość i lenistwie —  
Inne rzeczy nawet siebie nie są warte.  
Chociaż byłem w wielu krajach  
nie znalazłem niczego więcej  
i nie znaję.

Mimo, że liść róży wędnie,  
Chciałbym raczej zachować jego słodycz  
niż wojować z wiatrakami na Węgrzech —  
i stracił wszelkie złudzenie.

Z angielskiego tłumaczył:  
Andrzej Tchórzewski

## Szpital dziecięcy w Lublinie?



Gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie. Niedawno organizacja partyną przy Komitecie Miejskim postawiła wniosek o umieszczenie tu szpitala. Jak kilka dni temu doniósł „Samodzielny” co do sposobu użytkowania gmachu zapady inne decyzje.

Tragicz sytuacji pogłębia jeszcze fakt, że coraz więcej jstych domów wypada z eksploatacji. Systematycznie nie wykonywane są plany tu o mi.ęwa jednego tylko Szeroka rozreklamowana Sieroka ścieżnicznia biur skończyła się fatalnym fiaskiem. Żadne zalecenia i u.ęwały Prezydium MRN w tej sprawie nie skutkują. Wszystko robiła się o mar półtoraj zniecierliwionych urzędów na dyrektorsk.ęch fotelach. Tysięce ludzi patrzy na ślepkę, nowe imachy urzędów i instytucji. Tym ludziom trudno jest mówić o przełomie w.ęm znaczeniu VIII Plenum. Nie uwi.ęra słowom, dok.ęd (Dokroczenie na str. 5)







ROMUALD KARAS

# Dziesięć dni to niewiele (Kartki z dziennika)

8.IX.1956 r.  
Warszawa wita studentów lubelskich wyższych uczelni, udających się na wykopaliska PGR-ów woj. lubelskiego, mówiących o podrobnym zrealizowaniu na dworcach Wschodnim. Idąc ul. Kijowską co kilkadziesiąt metrów przy kawiarniach i restauracjach, widzimy „urzędujących” kobiety. Jedne eleganckie, inne w kufajkach, różne wiekiem: stare i młode (niektóre niemal podlotki); pijane i niepijane — stwarzające bogaty wybrór. W porównaniu z Lublinem — towar jakże zróżnicowany. Wiadomo — stolica.

10.IX.1956 r.  
PGR — Imiönki. Tabliczka: TU WOLNO PALYĆ. Na biolinistym podwórku poniewierają się maszyny i inne rekwizyty polowych prac. Ze „słono” dowiepiującej grupy robotników PGR wybijają się jeden — Oleś — o budowie cząstki do złudzenia przypominającej Neandertala, a fizjonomii sylfityka. W ocenie zagadnień plicowych, określonych tu jednak bardziej dosadnie, wtrąca mi robotnicza (męzka). To, czego nie mogą te dwie osoby wyrazić słowami, z dostateczną obrazowością, wypowiadają określonymi gestami. Na dyskutujących (7?) ludzi, poniewierających się sprzęt polowy, z filozoficzną rezerwą, spoglądają cznie spacerując po podwórkowej części mazi.

Many trochę wolnego czasu



o oglądami gospodarstwa Imiönki, należące do zespołu Legówek (pow. Olecko, woj. lubelskiego).  
Kapsuła rosnąca na obszarze bardzo urodzajnej ziemi — nie obrodziła. Duża ilość

główek jeszcze się nie zawiązała! Zwracają uwagę duże polacie ziemi, gdzie rosną nawet „salki”. Dla kontrastu tej „nędzy” warzywniczej oglądami opodal zasądzonej kapsule na dziale indywidualnego gospodarza. Co za wspaniały urodzaj! Za Mickiewiczem chce się powtarzać: „Tu kapsuła sędziwie schylała łuski, siedzi i zda się dumać o losach jarzyny” (zamiast ludzi).

Obrazmy obszary PGR-owskich pól pokrywa oazmy rzepak. Pracujemy przy jego zbiorze. Normy za pracę oplakane. Pół dnia harówki — trzynastę godzin, za jednego. Koleżki twierdzą, że uległyby one zmianie, gdyby przy zbiorze pracowali nie ten ze speców ministerialnych, który je ukła dał. Sikora jednak nie na to nie wskazuje — siła rzeczy — poczekamy na zmianę norm obługo, długo...

11.IX.1956 r.  
ZIEMIANKI. NIE OBRODZIŁY. Są drobne, a gdy większe — pod krzakami jest ich niewiele. Radziacka kapsułka mechaniczna pracuje bardzo nieładnie. Efekt — olbrzymia ilość bulw pozostaje w ziemi. Nikt z pracowników nie jest na tyle czuły, by butem, nawet tym „kazonnym” wyszukawać je w ziemi. Przy podawaniu ilości wysy-

panych koszy ziemniaków — zwiłkie, ludzkie kochaczki. Wytłumaczenie jest: place trzeba zabrać kombiną.  
12.IX.1956 r.  
Po śniadaniu studenci ochoczo chcieli się zabrać do prac-

nych koszy ziemniaków — zwiłkie, ludzkie kochaczki.

cy. Niestety, na polu nie było traktora z kopcarką. Wyruszyliśmy zatem na wyścig do lasu, a część z nas z nogą biegał chruścik przy rozpalce ogniska.  
Po godzinie oczekiwania przyjechał traktor z kopcarką i rozpozł pracę. Co pewien czas przysyłali, by pomógł traktorysty mógł usunąć ślady, które uniemożliwiały ruch lasu w kopcarkę. A kamieni PGR-owskim polu jest moc. Byli właściciele państwowych włókien bauer, miał ciekawy i dożył polityczny zwyczaj usuwania ich z pol. Obecnie kierownictwo gospodarstwa nie chce nawiązywać do Junkierskich tradycji.

A szkoda. Około godziny 16-tej kończymy pracę. Rozbieżność w zbiorze na jednego wynosi: od 1/2 tony do 1 1/2 tony. Ta dysproporcja w zbiorze jest głównym wynikiem indywidualnych machlojek. Kradzieże — trudno to inaczej nazwać — są prostą konsekwencją tego, że normy są zbyt wysokie i za rzeczuwaniem ilości zebranych ziemniaków byłaby zbyt niska zapłata (jakieś 25 zł).

A zatem — żeby żyć — trzeba kradzież.

Potrzeba jest matką wynalazku.  
Energia ludzka jest niewyczerpana. Po ośmiu godzinach ciężkiej pracy nasi koleżki poszli na „wieczór” do Olecka. Co przemożno zmęczenie? Jeden z wykopawców zaproponował wypicie „nieśmiętki”. Nie masz to jak nas narodowe — czysta.

14. IX. 1956 r.  
Dziś nie noc, bywa, wspaniały dla towarzyszy z Lublina, dziewczę z Białogostu i Hajnowki, przynajmniej ochotniczek. Wypadła ją czymś uswiecić. Najlepiej — pomyślały dziewczęta — społeczeństwo przyjemność. Uzielali się zatem wszystkim tym, którzy mieli na to ochotę, a w PGR-ze, jak wiadomo, o takich nie trudno. Personalny Zespół Legówek uznał że „te rzeczy” najlepiej robić na wysokościach. Wspinaczka obywatela na strych wspaniale nie była wysokością, nie mniej zawierała w sobie dużą dozę niebezpieczeństwa, a teraz... procent zarządnego coraz bardziej wzrastał.  
Jak było w sali, gdzie spaly dziewczęta? Starsze kobiety z Hajnowki udzielały mi skromnych informacji o białej nocy.

Na łóżku usiadł sezonowy wielbiciel. Mówił: „panienki — jakie masz piękne oczy”. Formalności stawało się za dużo, a dalej, by stworzyć pozory warunków rodzinnych, z piętrowego łóżka związano koc, który zastąpił szczytów od ciekawskich spojrzeń. Drugim razem tej samej panience, tej samej nocy podobały się u nowego przybysza ładny, Mówiła: „jakie masz cudne włosy”. Formalności stawało się za dużo.

Po wyjeździe dziewczęta dotarła do nas wieść, że w Białogostu, rozpowszechniono wiadomość o tym co dzieje się w PGR-ze. Głazim podobno staropaniństwo. Faktem jest, że jedna z dziewcząt radziacka niczując się do sali, pomijając ogrod i inne zakamarki.

15. IX. 1956 r.  
Kopalnia ziemniaków, pół oślepły, dziewięćdziesięcioletni starzec. Beda w polu stare dziecko, opowiada mi o wędrowkach po „Bosiu”. A i współczesność też znał

dobrze. Wątpliwe czy tylko z dobrej strony. Dziewięćdziesięcioletniemu człowiekowi, który uprawiał swój „jakis” ziemi na obszarze przedwojennej Polski i dwa ha na ziemiach przyłączonych, to jest na Mazurach, natomiast obowiązkowe dostawy! Groźno uwiedzenie w wypadku niedostarczenia.



Kawalek „poniemieckiej” ziemi, który uprawiał staruszek, nie był pierwszy. Przed nim posiadł grunt bardziej urodzajny, ale PGR odebrał go dziadkowi, a zabudowania, w których mieszkał rozebrał na cegieł. Do spragnionego ziemi chłopca w końcowym okresie jego życia, umiało jak widać ustosunkować się „państwowe gospodarstwo”.

Zasiewał teraz dziadek, nowo dwa ha ziemi, mieszkał wspólnie z jakąś wdową, a czasami udawał się furmanką do „Polski”, na ojcowlone, gdzie miał swój „jakter” ziemi, gdzie go nikt nie mógł niepokoić.  
Widać, trud, z jakim metyka kopal ziemię, pewnego popołudnia wykopalśmy mu

Polska, wstępując na drogę socjalizmu, przejechał kradzież wielce cech życia krajów kapitalistycznych.

Nie chce być gołosłowny. Podam jakiś przykład — pierwszy z tak zwanego brzęgu.

Podróże poślubne. Kiedy byłem bardzo mały, ale już na tyle rozsądny, by doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że mój ojciec jest biedny i nie ma nic wspólnego z prawdziwymi czy nawet fałszywymi herbami — marzyłem o bogactwie. Typowo. Byłem przecież malutkim obywatelom państwa kapitalistyczne.

Marzyłem również o poślubieniu królowej lub w najgorszym wypadku, księżniczki trzej krwi. Rozumowałem wtedy: albo będę milionerem, więc starość i opiekę wysoko urodzonej leżałoby w moich możliwościach, albo wyrpnię na tak przystojnego mężczyzny, że zakochana w mnie pretendentka do tronu ofiaruje mi nie tylko rączkę, ale i władzę i bogactwo i tytuły. W każdym razie — do głębi pojadę w karecie zaprzężonej w dwa lub cztery grzyby białych koni.

Z tych dziecięcych rojeń przebudziłem się w okresie okupacji. Wprawdzie miałem zaledwie latkę sześć i pełne prawo do świata baśni, ale brutalna łapa Hitlera podniosła mnie za kolarz bierzy gdzieś wysoko, bar-

kopaczką ziemniaki, którym groziło zamrażanie. Płakany czyn spełniony po normalnej PGR-owskiej „orce”, wymaga może, by poświęcić mu więcej słów. Spać mi się jednak chce — kończę więc.

16. IX. 1956 r.  
Należy obiektywnie stwierdzić, że wyzysk nie ginie wraz z ustrojem kapitalistycznym.



Dzisiaj podano nasze zarobki za 10 dni pracy przy wykopaliskach. Wahały się one od 350 do 420 zł. Ta zmienność sum jest wynikiem różnych „zagrabi” poszczególnych wykopawców. Istotny wkład pracy był mniej więcej jednakowy. W zasadzie duży.

18. IX. 1956 r.  
W dniu dzisiejszym kariofilie były wielkością kropek nad tym zdaniem. Praca przy zbieraniu tego „urodzaju” jest nauką. Spiewamy piosenki. Ktoś podaje projekt, by dokonać wyboru miss PGR-u. Na obecnym etapie przemian powinno chwyć się.

20.IX.1956 r.

Po przyjeździe do Olecka, skąd nastąpił wyjazd do Lublina, koleżki zawiadeli miastem. Wszędzie było ich pełno, ale najwięcej w ludowych gospodach. Miejscowi pilnicy przyblił kłeska, z gorzycą senci „okowite”. Studenci okazali się o wiele bardziej wytrawnymi pijakami. Z narodową rozrzućnością zamawiali co przedniejsze gantunki upłynijając wykopawców zarobki.

Wjątkowo czyste miasto, Olecko, pamiętać będzie długo lubelskich studentów. Szczególnie gospoda, poczekałnia stacyjna, ulice, pociąg... odczuły ich pobyt. Nie trzeba pominąć też ludzi. Taki był klimat wysypawczych prac.

Romuald Karas

Kiedy przyszły do mnie lata, w których poznaje się różne ciekawe i nieciekawe sprawy towarzyszek niezupełnie dziecięcych zabaw, zaplątałem się w jakąś historię, która wymagała decyzji.

Urząłem przed sobą 159 kobiet i — zamknąwszy oczy — powiedziałem: ta

Wkrótce potem napisałem pierwsze opowiadanie. Pochwalilem swoje bohaterstwo, motywujać je pobytom ojca w Oświęcimiu. Ponieważ opowiadanie to umieściłem w zeszycie szkolnym, siostra wyjechała kartki, podarła je na drobniutki kawaleczki i wrzuciła do kosza. To była symboliczna zapowiedź moich późniejszych sukcesów literackich...

Od tego zdarzenia piszę od czasu do czasu jakieś opowiadania. Od tego zdarzenia patrzę na świat z góry — zawieszony za kolarz marynarskiej bierzy gdzieś pod chmurami. Wydaje mi się, że stamtąd mogę lepiej dojrzeć wiecie zawiłych ludzkich spraw.

A co z marzeniami?

## Sławiamy na satyrę

Warszawskie STS pierwszy w Polsce publiczne znatokuwał grupę „natolińska”. Jeśli w dni październikowe ludzie przychodzili do lubelskich studentów ze swoimi troskami np. „w sprawie utrzymania pracy” — to do dowodem obywatelnego zaufania społeczeństwa. To zaufanie obarcza nas obowiązkiem stworzenia trybunu, z której można by było atakować ludzi, a nawet zbior zjawisk hamujących proces demokracji. Proponujemy utworzyć w Lublinie Studencki Teatr Satyryczny. Nie można w tej chwili sugerować jakiejśkolwiek koncepcji artystycznej, gdyż ta wyłoni się dopiero po stworzeniu zespołu. Niektóre rzeczy można jednak sprzezwować. Raręj było miała tylko linia teatru o satyrze jak najbardziej konstytutywnej.

nawiązaniu kontaktów z innymi teatrami tego typu, trzeba będzie w pierwszej fazie skorzystać z ich tekstów, równocześnie dając kilka numerów autorów lubelskich o tematyce lokalnej. W miarę konsolidowania się zespołu coraz bardziej opierać się na tekstach lokalnych, tworząc własne środki wyrazu.

Sprawa powstania teatru ogólnostudenckiego uczy się z ogromnymi trudnościami natury organizacyjnej w związku z czym patronat powinna objąć jedna z uczelni lubelskich, co jednak nie może mieć najmniejszego wpływu na jego oblicze. Jednocześnie taki teatr powinien nawiązać ścisłą łączność ze studentami z grupy rewolucyjnej.

Na by „by w sposób jak najbardziej sugestywny oddziaływać na widza, konieczne jest oparcie się na doświadczeniach teatrów jest istniejących. Po

S Stefan Michałowski  
Bogdan Zagroda

## ZBIGNIEW STEPEK Każdy ma

Wkrótce potem napisałem pierwsze opowiadanie. Pochwalilem swoje bohaterstwo, motywujać je pobytom ojca w Oświęcimiu. Ponieważ opowiadanie to umieściłem w zeszycie szkolnym, siostra wyjechała kartki, podarła je na drobniutki kawaleczki i wrzuciła do kosza. To była symboliczna zapowiedź moich późniejszych sukcesów literackich...

Od tego zdarzenia piszę od czasu do czasu jakieś opowiadania. Od tego zdarzenia patrzę na świat z góry — zawieszony za kolarz marynarskiej bierzy gdzieś pod chmurami. Wydaje mi się, że stamtąd mogę lepiej dojrzeć wiecie zawiłych ludzkich spraw.

Nie wiem jak to się stało: słowo decyzji wyrzekłem przed jej rodzicami, a trzeba dodać, umiem dotrzymać słowa.

Czasz były złe. Narzynamy je teraz okresem błędów, albo — już coraz częściej — zbrodni. Mnie wychowanekwi tego okresu, powinny niektóre rzeczy wywietrzeć — jak to się mówi — z głowy. 12 lat. Hm, można się nauczyć wiersza na pamięć. Można wiele rzeczy zapamiętać. Czego narzeczył mnie okres budowy podstaw socjalizmu? No tak, zrezygnowałem wprawdzie z królowej i karety zaprzężonej w dwa lub cztery grzyby białych koni, ale... zarządy mi się jąkać niezwykłe przygody z moją młodą, bo zaledwie kilkunastoletnią, którą nazwałem „Chinka”, gdyż jej długie oczy stawały się



JÓZEF WIESŁAW ZIĘBA

# Ararat... Ararat... Ararat...

Sztukę swa zapatrzyl? Swinarski tradycyjnym podtytułem „komedia w trzech aktach”. Jednak z polską tradycją komediową autor, jego facy bardzo niewiele. Wprowadzie wykorzystuje autor pewne motywy i chwyt komediowe, które znał już stary Fredro czy Nowaczyński, ale nabierają one w „Araracie” zupełnie nowego sensu. Oprócz tych niewielu zresztą tradycyjnych naleciałości, rozporządza Swinarski całą skalą środków, które sprawiają, że sztuka jego w naszym komediopisarstwie stanowi zupełnie odrębną pozycję.

„Ararat” najkrócej można by nazwać „komedią polityczną”. Najogólniej biorąc politykę utworu polega na tym, że autorowi nie chodzi o dosłowne odczytanie przez odbiorcę tekstu utworu, ale

o znalezienie w nim jessze innych treści. Prawdziwy dramat polityki — „Ararat” jest nim na pewno — daje możliwość różnej interpretacji i różnego rozumienia. Ograniczenie się do jednego tylko wariantu pokaże utworu. Oczywiście pewna zobłą treściwo może autor szczególnie akcentować i wysuwać na czoło.

Spójrzmy jak to wygląda w „Araracie”. Dramat ten powstał przez pięć lat (1950 — 1955). Dobrze znamy ten okres. Nadajemy mu nawet specjalne miano. Nic w.ced dziwnego, że znalazł on silne odbicie w „Araracie”. Dowodzą tego liczne aluzje, które niedłuznawczmie dziś odczytujemy. Sztukę Swinarskiego można potraktować nawet jako pamflet na ten okres.

Czy jest to komedia polityczna? Może, ale nie tylko.

Czy jest to żart? Tak, polityczni, ale pełen goryczy, ironii, sarkazmu, smutku, patosu, a nawet tragizmu. Ale jest w nim coś więcej. „Ararat” duży, przeczta, bo lubelskie wystawienie nie potrafiło wszystkich tych akcentów wydobyc. Zresztą o wystawieniu będę mówił za chwilę.

W „Araracie” zasadniczo można wyróżnić dwa pokłady problemowo-treściowe, które przewijają się i spajają cały utworu. Nazwijmy je „dziejami rodziny Noacha” i „dziejami arki”. Obydwa przykuwa do siebie niby fatum — Ararat. Oczywiście są to tylko metafory. Można je interpretować bardzo różnie.

Najogólniej Ararat można by uważać za metaforę błędnego koła. Rodzina Noacha reprezentowałaby wtedy ludzi, którzy pochłonęli życiem

nie wiedzą, do jakiego celu zmierzają. Arka byłaby wtedy symbol nieubłagane-go losu, który poprzez różnego rodzaju potopy wiezie swych pasażerów do punktu startu. Oczywiście jest to najbardziej ogólnie odczytanie utworu.

Zupełnie dzisiaj treść jego odczytujemy bardziej konkretnie. Liczne aluzje, które wtrącałaby intencje autora, do tego swa nawet upełniali. Jesteśmy bowiem znów u progu Araratu, chociaż zdawało się nam, że długo byliśmy w Jafecie chcemy widzieć przedstawiciela klasy robotniczej, która przez wiele lat latała trap wodzący do „światlanej przyszłości”, solidnie też harowała przy sterze, by w końcu z przerażeniem wykrzyknąć: „Ararat!”

W utworze Swinarskiego trzeba się dopatrywać również pamfletu na wiarę w Bogaz autor stoi na stanowisku że rodzi ją leć. Nietrudno też odkryć tu pamflet na żądze władzy. Oczywiście nie są to wszystkie możliwości interpretacji utworu. Można by chyba wyłowić jessze inne. Można bardziej lub mniej ukonkretnić i wysuwać na czoło przy realizacji scenicznej, ale w żaden sposób nie wolno zapominać, że tak różnorodne możliwości istnieją.

Pierwszy raz oglądałem przedstawienie „Araratu” z trzeciego rzędu krzesel na drugim balkonie. Moi sąsiedzi trzymali palta na kolanach i niewiele w antraktach mówili. Kiedy opuszczali swoje miejsca, mieli twarze skupione. O przedstawieniu nie usły szaleńczego śmiechu. Zastanawiałem się czy „rozryzają” problem utworu, czy wsty będą po prostu przyznać, że nie zrozumieli.

W swych dniach, o niedzielnym wieczorze przedstawienie siedziałem tym razem w szóstym rzędzie na parterze) usłyszałem za sobą zdanie mekzyczny: „sztuka mi się nie podoba”. Kobieta dodała: „lepiej było iść do operki na „Dziwczę z Holandii”. Przyczyną takiej reakcji widzów upatruję w interpretacji scenicznej sztuki. (Przyp. redakcji — my jednak nie uważamy tego za jedyną przyczynę. Niemalże rolę odegrał tu chyba także wciąż jessze, nietyki niski poziom naszej publiczności).

Przed ukazaniem się sztuki na scenie reżyser Jerzy Góliński motywując dlaczego wybrał „Ararat” stwierdza, że chodzi o „bezpłodność, namiętna dyskusję sceny z widownią o majstostwa i innych problemach naszej współczesności”. Treść tego zdania zaczynała, widac to wyraźnie, na lubelskiej inscenizacji utworu i dała nieco nie zamierzony efekt. Reżyser bojąc się farsy wpadł w melodramat. Przy realizacji scenicznej „Araratu” oczywiście grozi jedno i drugie. Trzeba mieć bardzo duże wyczucia, by o tym oprzeć.

Wydaje mi się, że reżyser zbyt sztywno ujął się finalnie zbudzić (dobrze do tego samego Araratu, z którego chcieliśmy uciec”), a nie zwrócił uwagi na zaproszenie Noacha do spożycia pieczeni z czarnego barana, o którym mówi się już od pierwszego aktu. Chyba dopiero te dwa momenty dają prawdziwy sens całości. W utworze Swinarskiego łączą się bowiem kłina z prawdziwym tragizmem.

Przed wszystkim kpi autor z bohaterów swego dramatu. Wie, że dobra pieczeń potrafi zalać obraz zniszczonego sponowianych potopem. Kpi Swinarski nawet z Noacha, który pieczenia chce zabić niebezpieczeństwa jakim uprzednio nie zapobiegł. Wreszcie kpinę jego rozlegała na widza, który wierze wszystko dosłownie. Zależy sobie nawet sprawę, że gdyby harował jak Jafet przy

sterze, nie potrafił być arki odwrócić. Z tego względu uzasadniony jest apel do tych, którzy wysiądą na ląd jutro, albo za sto lat.

Jednak realizacja sceniczna, jak już zaznaczaliśmy na te dwa elementy nie zwróciła uwagi. Reżyser, autor, i zespół

te. Dobrze się chyba stało, że widzowie nie odczytują postaci Noacha w myśl tych intencji.

Podsumowując swoje uwagi chciałbym podkreślić, że widzowie nie odczytują postać Noacha w myśl tych intencji.



Akt II. Danuta Zaborowska (Stechora) i Jerzy Smyk (Jafet)

aktorów grających w „Araracie” w dużej mierze rozrzęszali fakt, że sztukę tę przygotowywali w swych dniach październik. Nic więc dziwnego, że ujrano w niej mase analogii. Chyba dlatego aktor wpadł na niezręczny nieco pomysł, by Noacha ucharakteryzować na Gomułę. Oczywiście można w dramacie odkryć pewne analogie, ale taka interpretacja z jednej strony zbyttno ukonkretnia problematykę utworu, a z drugiej nacłaga pewne aluzje na si-

jęst potraktowanie na równi pasażerów arki jak i samego statku. Najwidoczniej to wychodzi w końcu wola oklaskiwanej scenie aktu drugiego. Miejsce takich jest więcej. Zaczęły to w dużej mierze na ogólnym wyrazie sztuki, który dzięki takiej interpretacji został w dużej mierze zatajony.

Przy realizacji scenicznej tego utworu tylko położenie nacisku na kontrasty mogłoby dać efekt, jakiego domaga się utwor. Józef Wiesław Zięba

## W imieniu gruzliczych dzieci

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 2)

nie zobaczć czyjś. Dla nich socjalizm, XX Zjazd, VIII Plenum i cały proces demokratyzacji sprowadza się do kawalka powierzchni mieszkalnej.

W obliczu ludzkiej tragedii, w imieniu piwnicznych ludzi, w imieniu dzieci przerażonych gruzliczą kłdąm:

- 1) Oddania gmachu KW PZPR na szpital dziecięcy. Komitet Wojewódzki można z powodzeniem przenieść do budynku rozwiązanej Szkoły Partyjnej.
- 2) Przeniesienia komend: wojewódzkiej i miejskiej MO w Lublinie do gmachu byłego Urzędu ds Bezpieczeństwa Publicznego.
- 3) Seiszenia biur PWRN i PMRN co najmniej o 50%.
- 4) Seiszenia o 25-30 proc. biur takich instytucji i organizacji społecznych jak: WRZZ, rady okręgowe poszczególnych związków, Wojewódzki Zarząd TPRK, Wojewódzki Zarząd Spółdzielczości Pracy, Wojewódzki Zarząd Handlu Meblami i wiele innych.

5) Przekształcenia na mieszkanie wszystkich nadających się do tego świetlic przyzakładowych powołując na ich miejsce do życia świetlice dzielnicowe.

Dla ruszenia sprawy seiszenia z narobione punktu postuluje powołanie specjalnego Komisarza, który miałby sprawę wydawania w tych sprawach ostatecznych decyzji.

Odwolanie od tych decyzji nie wstrzymwałoby ich wykonania. Uważam również za konieczne powołanie komisji, która zajęłaby się kontrolą bloków zamieszkałych przez rodziny woskowych. Pod adresem Zarządu Miejskiego ZMP wysuwać wniosek o powołanie grup kontrolnych, które wspólnie z Prez. diam MRN zajęłyby się rozkłauczeniem bogaczy mieszkających. Za bezwzględnie konieczne uważam również wprowadzenie zakazu meldowania ludzi przybywających do Lublina bez uzasadnionych powodów (szczególnie ludzi ze wsi). I wniosek osad. WSTRZĄSĄC BUDOWY PRZEDZIAŁY MIESZKAN LUDZIOM, KTORZY MIESZKAJĄ W ZNOSNYCH WARSZAWA, AZ DO CZASU WYRÓZNIENIA Z PIWNI. SUTEREN I WALAJCZYCH SIĘ RUDER OSTATNIEGO CZŁOWIEKA, PRZED DE WSZYSTKIM OSTATNIEGO DZIECKA.

Tragedia piwnicznych ludzi to nie tylko spustelzna kapitalistycznych rządów, to również bolesna po osadach epoki stalinizmu. Epoki budowania socjalizmu na ludzkich kościach. Uważam jak najszersze rozwiązanie owego palącego problemu na terenie Lublina, za pierwszy realny krok w dziedzinie tego, co nazwamy procesem odnowy. Ryszard Gontarz



Akt I. Stanisław Michalik (Szem) i Andrzej Balcerzak (Cham)

zupelnie skóne przy pocałunkach.

Wymyślił sobie, że mam prawo do marzeń, że idawc jest ponadczasowe, w prawo z nami w każdy czas, jak miłość, jak myśl.

Podobno w krajach kapitalistycznych w podróz posłubną biedni wyjeżdżają własnym samochodem, a

to jest, obcym nie zależy, polamiu, podrapia.

Zgodził się. Podnieśliśmy kajak wysoko, a ten kolejarz z wozu towarowego wciągał go za dziób do środka.

Spieszyło mu się widocznie, bu szarpnął siebie. Wtedy — tułów jakąka za zgrzytał boleśnie o żelazne

czek. Poczęto się tłoczyć między nimi. Lekarz rozłożył bezradnie ręce. Jacyś obcy ludzie ponieśli ją w kierunku budynków stojących.

A ja, ze swego podchmurnego stanowiska obserwatora począłem wzbijać się jessze wyżej, całkiem nad chmury, by ogarnąć wzrokiem sens wszystkich wypadków.

Wtedy podszedł do mnie kolejarz z wozu towarowego i zapytał:

- No to jak, załadować ten kajak czy wyladować?
- Co?
- Załadować czy wyladować?
- Co? — powtórzyłem.
- Panie — odparł opry-

## swoje sprawy...

mniej biedni jachtem lub samolotem. Na Riwierę, do Monte Carlo, dookola świata. Ja nie byłem tak wymagający. Nie upierałem się, bynajmniej, przy egzotycznych krajach. Niedaleko. Oł, Mikołajki czy Sorwikty. Ze skromnym marzeniem, które zmateriałizowałoby się w zwykły, najzwyczajszyc kajak.

Kupiliśmy za gotówkę zgrabne, choć dość duże pudło. Ze sterem. Będziemy mogli przymocować żagiel. Postanowiliśmy, że kajak jest ładny i dobry. Z boku ułożyliśmy duże litery z lakieru: Zanetka. To będzie imię naszego dziecka — córki — jak zapowiada „Chinka”.

W dzień wyjazdu poprosiłem kolegę: — Zygmunty, odprowadź nas na stację, pomożesz załadować kajak. Wiesz, jak

okucie czyjegos kufru. W miejscu, gdzie na niebieskim tle czerwieniali litery „Zanetka”, zarysowała się długa rana. „Chinka”, ob-



serwujac to z boku, chciała zapobiec zdrapaniu skoczyła w przód. A wtedy... Na peronie, przed wozem towarowym leżało dużo pa-

skliwie — nie mamy czasu. Jak z tym kajakiem? Rozległ się gwizd lokomotywy.

Zbigniew Stepek



# A Szabadsághoz

(DOKONCZENIE ZE STR. 3)

Zdarzają się wypadki zabijania sanitariuszek niosących pomoc rannym cywilom. Jeden z pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przynosi wstrząsającą wiadomość, że grupa studentów historii, broniąca się w śróde w baraku koto Parlamentu, została rozstrzelana po złożeniu broni na apel rządu węgierskiego.

W piątek 26 października widownia walk na większą skalę stała się także Buda. Na placu Moskwy młodzi chłopcy ubrani w granaty, które zdobyli w Studium Wojskowym (po zagrożeniu dozorcy sztywnymi), budują barykadę. Z zabitemi pomagają im w tym całą ludność cywilna gromadzona na placu.

Kiedy po zakończeniu walk w tym rejonie, trawjących bez przerwy od południa w piątek do soboty rano — znaleźliśmy się na placu Moskwy, nie mogliśmy poznać niektórych domów. Obrzynie dziury po pociskach artyleryjskich, ani jednej całej ściany, oto efekt walk. Obrazu zniszczenia dopełniają jeszcze obrzynane barykady, składająca się z kilku porożniętych wagonów pumianowskich zepchniętych tutaj z Dworca Południowego. Z młodych powstańców, z których rozmawialiśmy poprzedniego dnia — nikt nie pozostał cały. Tym bardziej to zasmucilo, bo wśród nich znajdował się jeden ze studentów węgierskich, którego poznaliśmy jeszcze podczas pobytu w Pecs. Przedostał się on do Budapesztu w czwartek, wraz z kilkutyściami grupą Węgrów. Początkowo jechał on podziemkiem, a ostatnie 40 km przed stolicą — szła piechota. Przeprowadził ich tutaj patriotyczny — zapał i chęć wzięcia udziału w obronie swojej stolicy.

W sobotę w południe strzały kasadniczo milkną. Jest to wy-

działa pancerna, auta. Gdzieś niedziedzie szczerza porożniane paszczki ciężkie działa i moździerze. Pomiedzy nimi, na znaną leżą niewypały granatów od ciężkich moździerzy i zwłoki rosyjskich żołnierzy. Na odcinku około 200 metrów jest zabitych około kilkadziesiąt ludzi pancernych i czołgów. Czymś — jak oświadczyli powstańcy, jedną ich bronią były tutaj butelki z benzyną. Dziwilo nas u gospodarzy wszystko. I zapa-



Tak wyglądają domy Jozsef körút

sy żywności, które na długo może wystarczyć i uzbrojenie, w które zaopatrzyli ich żołnierze radziecy. Zwracali przede wszystkim naszą uwagę liczne działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze, postawiane wokół Głównej Kwatery Powstańców.

Poza Główną Kwaterę Powstańców odwiedziliśmy jeszcze Komitet Rewolucyjny Studentów, następnie siedzibę Węgierskiego Komitetu Rewolucyjnego. Wszędzie przyjmowano nas z otwartymi rękami: słowo „Lenyel” otwierało serca i usta braci Węgrów. Wszędzie zaproszono nas w obywatelski, ułotki powstańców. Czujają je, oraz porzucając je z odezwaniami rozlepio-

nych przez powstańców, jeden z zwolenników „strzelanych krzyży” napisał dużymi literami „koniec z komunistami. Reakcja ludności była natychmiastowa: napis został całkowicie zamazany, a jak był los jego autora — nie zdążyliśmy zauważyć.

Na szczególne podkreślenie zasługuje postawa Węgrów w tych tak ciężkich dniach pierwszego tygodnia walk. Oto óbok porożnianych dostrzeżenie wystaw sklepowych płynnie bez przerwy tłum ludzi. Mamy sklep jubilerski, na którym nie zdążyliśmy zobaczyć, lecz nie ruszone rękami złotnicze. W niektórych sklepach, na specjalne polecenie powstańców, pracownicy pozostali tawary z wystaw w głąb sklepów. To było zo-

przynajmniej powstania plotek o rzekomych rabunkach i grabieżach dokonywanych w porożnianych sklepach.

W ogniu walk kształtował się prawdziwy, nie narzucony z góry sojusz robotniczo-chłopski. Samochody prowadzone przez robotników udawały się na wieś, gdzie chłopcy zupełnie obrowolnie i bezplatnie ładowali je ziemniakami, mąką, makiem i innymi artykułami żywnościowymi.

Transporty żywności dostarczane do walczącego miasta, oraz fakt, że pracownicy elekrowni, gazowni i wodociągów nie przerywali przez cały czas pracy — dowodziły wielkiej spójności i solidarności społeczeństwa węgierskiego.

Oprócz tego, że robotnicy z Győr, otrzykali z Mikolce przychodzili z bezopieczniami pomocą walczącej stolicy, — ich pozycywna w swoich rodzinnych miastach pośrednio wpływały na polepszenie sytuacji Budapesztu, bowiem dowodziły, że ludność całych Węgier solidaryzuje się z wydarzeniami w stolicy. Całe zachodnie Węgry zostały opalone przez ugrupowania powstańcze, które współpracowały z jedną stroną i nowoutworzonymi Rewolucyjnymi Komitetami Robotniczymi i Chłopskimi, a z drugiej stroną z rządem Imre Nagy i z armią węgierską. Dla określenia postawy armii węgierskiej wystarczy dodać, że ani jeden żołnierz węgierski nie stanął u boku wojsk radzieckich i awoszy. Wprost przeciwnie, już w sobotę 27 października — nadeszły z Szegedu i z innych miast południowych Węgrów pancerne brygady armii węgierskiej, które otrzymały od dowódcy Orlęgu Wojskowego Budapesztu rozkaz ochrony powstańców przed atakami oddziałów interwencyjnych. Treść swegoż uwag, że moment nadejścia posiłków węgierskich z prowincji wiąże się z datą rozpoczęcia wycoływania wojsk radzieckich z Budapesztu. Połączony z tym jednocześnie było

zjawisko, które śmiało można zakwalifikować do rzędu zjawisk szkodzących sprawie węgierskiej rewolucji. Ołóż ubrojeniu cywile rozpoczęli „polowanie” na funkcjonariuszy AVH. Każdego złapanego żywcem oficera masakrowano i wieszano ich na latarniach i drzewach ulicznych. Można by spróbować wytłumaczyć tę niemięską ludność do awoszy. Przecież to oni pierwsi oddali strzały w bezbronnym tłum studentów i robotników. Oni celowali w bestialskich mordach dokonywanych na bezbronnych mieszkańcach Budapesztu, na dzieciach i młodzieży. Widzieliśmy wiele grobów, często bezimiennych, które kryła ciła pomordowanych niewinne kilkunastoletnich chłopców. Widzieliśmy także jak auta pełne ubrojonych po zęby awoszy krążyły po ulicach strzelając do napotykanym mieszkańców. Tragiczny bilans pierwszego tygodnia walk zamyka się w około 50

Wyrazem uczuć, jakie zżywa Węgry wobec tych, których uważają za sprawców swej narodowej tragedii są napisy, rysunki, karykatury, wiersze, które można napotkać w każdym punkcie miasta. Dosłownie w obrębie zasięgu ręki ludzkiej nie ma na murach czystym skrawka. Przede wszystkim znaczą się w oczy ogromne napisy: „Ruskiej domo!”, „Ruskiej hanki!”, „Ruskiej domo!”.

Tym bardziej wzruszał nas na każdym kroku stosunek do Polaków. Wymknął on nie tylko z chwytliwych nastrojów ludności, lecz z historycznych tradycji wspólnych walk wolnościowych. Byliśmy aż skropowani wprost nieopisaną życzliwością, serdecznością i wdzięcznością, jaką na każdym kroku okazali nam Węgry przez cały czas pobytu w ich kraju. Ta ostatnia wzrosła zwłaszcza po ogłoszeniu, że jako pierwsi okazaliśmy pomoc (krew, lekarstwa) my, Polacy, a nie sąsied-



Grób jednego z kilkunastoletnich chłopców rozstrzelanych przez „awoszy” w dniu 24 X. Na Rakosi ut. Napis na tabliczce: „pomścimy twoją śmierć”

tyśmiąt rannych, 15 tysięcy zabitych i wielu wesoło zniszczonych domach, ulicach, dzielnicach. Już po pierwszym tygodniu walk — Budapeszt był bardziej zniszczony, niż — jak twierdził budapeszteńczy — w 1945 roku.

nia Austrii, czy Jugosławia. Na zawsze potrafię w naszej pamięci entuzjastyczne poznanie, jakie zgotowali nam Węgry przy odjeździe z Budapesztu.

Jan Rzechowski



29. X. Działo zdobyte przez powstańców na Ferenc körút

nik różnym prowadzonych przez rząd Nagy'a, na żądanie głównych grup powstańczych. We wszystkich odczynach walczących grupowa, jako naczelne żądanie powtarza się: „wojska radzieckie muszą opuścić Węgry”.

Wynikiem różnym rządu węgierskiego z dowództwem wojsk radzieckich jest wycofanie tych ostatnich z Budapesztu. Widzieliśmy, jak tłumy mieszkańców Budapesztu, stojące na ulicach miasta, żępnęły w porannym milczeniu pierwsze oddziały radzieckie, wykonujące to porozumienie.

W niedzielę, około godziny 12-tej, zupełnie niespodziewanie „weszliśmy” w sam środek głównych sił powstańczych na skrzyżowaniu Ulloi út i József körút. Z zdziwieniem spostrzeżamy, że nie ma wśród nich faszystów ani bandytów. Rozmawiamy z kilkunastoletnimi chłopakami, studentami, robotnikami. Nie boją się niczego, nawet śmierci, na którą wszyscy są tu przygotowani. Boją się tylko oszczerstw i proszą nas ze łzami w oczach, abymy budapeszteńskie wydarzenia przedstawił Polakom w prawdziwym świetle. Pełni zdumienia i podziwu dla nich oglądamy porożniane czołgi,

nymi na murach miasta, muszyn stwierdzić jedno: we wszystkich powtarzają się dwa żądania ekonomiczne — utrzymanie nacjonalizacji przemysłu oraz reformę rolną z 1945 roku. Prócz tego, „szabadságok” wysuwał żądania pełnej demokracji życia społecznego i politycznego, wolności zakładowania partii demokratycznych, wolności swobodnego wypowiedzenia się, swobodności i niezależności w polityce zagranicznej i w gospodarce, neutralności Węgier. Dalej rozpiszono AVH, utworzenia na jego miejsce milicji z robotników z studentów, przewrocenia świata narodowego w dniu 15 marca, dawnego herbu Kosutha i narodowych mundurów dla armii węgierskiej. Niektóre z tych żądań zawierały już program rządu Imre Nagy'a. Trzeba podkreślić, że ludność Budapesztu przez cały okres walk była nastawiona bardzo przychylnie do osoby Imre Nagy'a. Apro i Kadara i z aprobatą podkreślić, że ludność Budapesztu przez cały okres walk była nastawiona bardzo przychylnie do osoby Imre Nagy'a. Apro i Kadara i z aprobatą

przymiowała porównania tych trzech przywódców. Jedynie w początkowej fazie walk niektóre grupy powstańcze zajęły stanowisko opozycyjne wobec Nagy'a. Spowodowane to było „jego przemówieniami, które, jak się później okazało — zostały wymuszone na nim przez awoszy.

Osobnego nasświetlenia wymaga postawa ludności wobec faktu odrestaurowania się przetrwałych partii. Chodzi tu przede wszystkim o faszystowski Stalassiego. Świadczą o tym najlepiej wydarzenia zaobserwowane przez mnie na Lenin körút. Wśród licznych ulotek i karykatur zredagowa-

ze tak się podoba naszym gościnie, ale przecież doskonale się rozumiemy. To chyba trochę winne są tu utawy (od ustawić) wydawane przez dyrektorów departamentów, którzy mahury zrobili tuż przed VIII Plenum i opracowywane przez prawników, którzy mieli tyle z prawem wspólnego, że dano im prawo do dużej pensji. Teraz spojrzeliśmy trochę wyżej. Mogą to potwierdzić liczni bonzowie nawet w Warszawie.

Spojrzelśmy trochę wyżej i w tym sensie, że wiemy o naszym niezaprzecznym prawie do entuzjazmu, do walki dla wszystkich i dla swojej najdroższej o prawo do radości i szczęścia. Nie chcemy, by zony nasze były znanymi filistrów i dlatego współczujemy nieznanym mamom. Może to bardzo trudne nie być filistrem, gdy się utrzymuje rodzinę, ale przynajmniej teraz, gdy nas utrzymuje rodzina, nikt nas nie może zmusić do filisterstwa. Ani cikiwi landzant, ani portier Stalina nie będzie nam zdobył pokoju tylko dlatego,

że tak się podoba naszym gościnie, ale przecież doskonale się rozumiemy. To chyba trochę winne są tu utawy (od ustawić) wydawane przez dyrektorów departamentów, którzy mahury zrobili tuż przed VIII Plenum i opracowywane przez prawników, którzy mieli tyle z prawem wspólnego, że dano im prawo do dużej pensji. Teraz spojrzeliśmy trochę wyżej. Mogą to potwierdzić liczni bonzowie nawet w Warszawie.

Towarzysze działacze KP PZPR w Biłgoraju, bądźcie trochę bardziej wzdzięczeni a jeśli na to was nie stać, to przynajmniej myślicie. Tow. Gomulka radzi, byśmy z pełną odpowiedzialnością i nie krzywdząco traktowali działaczy z ubiegłego dwunastolecia, działaczy, do których i wy należycie. Dlaczego więc zamkniecie ludzom usta, gdy popierają Gomulkę, dlaczego twierdzicie, że nie wiadomo jeszcze, co z tego będzie. Prawie cały kraj wie już, co z tego będzie, a wy nie możecie czy nie chcecie tego pojąć. Może więc spotkacie się z grupką, małą grupką studentów, dla wspólnej wymiany poglądów w tej kwestii, drogą dyskusji oczywiście, tylko drogą dyskusji. Nasz adres na wielu chłopów i robotników waszego powiatu. Możemy was odwiedzić jakoby miły, chociaż nie proszony gość. Jeśli ten problem istnieje jeszcze w innych

powiatach a istnieje z pewnością, postaramy się i tam dotrzeć. Jest nas w Polsce wg rocznika statystycznego na rok 1955 115,532 więc jakoby to sobie przedyskutujemy. Prawda? Do miłego zobaczenia.

Wszystko co wyżej napisałem to po to, aby ukazać nas, rewolucyjną grupę studentów od strony subiektywnej. Chciałem pokazać o co walczymy, jak walczymy, dlaczego walczymy tak trochę inaczej, niż to zwykłe się robi. Może zrobiliem to w ten sposób także dlatego, bo ja sam, jak zresztą i wy wszyscy, nie potrafimy nakreślić skończonego programu, jakiejś pełnej deklaracji ideologicznej, a nawet politycznej. Tylko naprawdę nie ma w tej chwili czasu na dyskusję, bo wiele rzeczy, jak to się mówiu na pewno nam pomoże i pozwoli wybrać najlepsze formy organizacyjne, kiedy przedyskutujemy nasze credo.

Brak tu jakichś konkretnych danych o naszej działalności, ale to chyba nie

jest najbardziej potrzebne. Trochę już o nas wiecie a co nieco chowamy jeszcze w zanadrzu obok naszych gorących serc, możecie nam wierzyc, naprawdę gorących. A kiedy ktoś wam powie, że studenci są apatyczni, wiedziecie, że to nieprawda. Nie wiercie, iż chcemy tylko zarabiac i nie poza tym, — to też nieprawda. A kiedy zobaczycie gdzieś pijanego studenta i to was oburzy, pomyslcie o tym, że to nie my nazwalismy knajpy w naszych miastach mianem „Polonii”.

Polonia dla nas jest jedyna i znaczy teraz coś więcej, a do tych licznych „polonii” coraz rzadziej będziemy zagladali.

Niewątpliwie nie tylko rzeczywistość będzie miała do nas pretensje o tę może niezbyt zręczną i niezbyt głęboką polemikę, ale mam nadzieję, że zostanie to mi wybaczone chociażby przez wzgląd na to, że my studenci nie tylko atrament przelewać potrafimy.

Waldemar Mietkowski student

## Polemika z rzeczywistością

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

Waldemar Mietkowski student







## „Jestem za VIII Plenum“

BOGDAN DZIEMIDOK

## Niezbadana jest natura kobiety

(WEDŁUG WSCHODNIEJ LEGENDY)



rys. E. Szubik

Jak malarz po raz ostatni krytycznie ocenił swój obraz przed oddaniem go na sąd krytykom i publiczności wystawowej, tak zmęczony Stwórca oglądał plody swych rąk i myśli.

Stworzone już były ziemia i niebo, gwiazdy i słońce, góry i doliny pokryte bujną roślinnością i pełną zwierza rozmaitego, morza, jeziora i rzeki.

Bez wątpienia, pięknie to było dzieło, ale czegoś jednak brakowało by uznać je za doskonałe, jakiegoś nieznacznego połącznika pędza, które czyni twórców nieśmiertelnymi.

I wtedy, pod wpływem genialnego iście boskiego natchnienia, powstał najdoskońalszy twór boskiej fantazji — kobieta; to uobecnienie piękna, gracji, harmonii, wdzięku, w którym w całej okazałości wyjaśnił się niezrównany artystyczny kunszt Stwórcy.

Gdyby Stwórca nie był wiernym i nieśmiertelnym jako bóg, stałby się nim jako artysta, jako autor kobiety.

Na niczym nie zbywało kocięcie, ulubionemu dziecku Stwórcy.

Miała wszystko czego chciała, ile chciała i w dowolnej jakości, albowiem wtedy nie było jeszcze ani dystrybucji, ani PKPG, ani nawet troski o człowieka.

Drzewa pokryte lakociami, rosły obok szmerzących strumyków paryskich perfum i źródełek wina gronowego; obok krzewów kłipsowych; a tysiące pajaków nieprzerwalnie snuło cieniutką nić nylonowych poczożek i innych szczegółów damskiej garderoby, zresztą wtedy jeszcze te drobiazgi nie mogły uczynić kobiety bardziej piękną, niż była w rzeczywistości.

Czy kobieta była szczęśliwą? Tak i to bardzo była szczęśliwą 30 dni i 30 nocy. Potem zaczęła kaprysić. Była ciągle niezadowolona, nie już nie sprawiło jej przyjemności, nie nie mogło zainteresować, a wszystko wydawało się nudne i powszednie. I wtedy Stwórca by rozszalał ją stworzył słowika. Nieduża skromna ptaszynka, ale jak pięknie on śpiewał! Nie, al-

bowiem jego śpiew był prawie tak piękny jak ciałko kobiety. Kobieta była też niezwykłym tematem jego pieśni, jego wiecznym natchnieniem. Słowicze kolysanki usypiały ją wieczorami, a o świcie znów słyszała hymny opiewające jej krąse i wdzięki.

Czy słowik uczynił kobietę szczęśliwą? Bez wątpienia i to na 30 dni i 30 nocy. Po czym i on zmudził się kobiecie.

„Cóż z tego — żałła się do Stwórcy, że śpiewał tak pięknie śpiewa, jeżeli na więcej go nie stać, zresztą jest taki małutki...“

Wtedy Stwórca powołał do życia Węża. To był bardzo udany pomysł. Wąż miał takie ślickie lśniące ciało i był bez porównania silniejszy niż słowik.

Kobieta lubiła bardzo gdy owijał się dookoła jej członków szyszak pochlebstwa i komplementy. A jak on umiał pieścić! Pod tym względem był naprawdę niezrównany i z nim kobieta znalazła niewysłowionych i nie zanych dla niej dotychczas rozkoszy.

Czy była więc wreszcie szczęśliwą? Tak była bardzo szczęśliwą przez 30 dni i 30 nocy.

Po upływie 30 dni wąż przestał już być tak interesujący jak dawniej.

„Co prawda umie pieścić, ale ma taki nieprzyjemny głos i zimne ciało i jest niedostatecznie silny, aby mnie nosić na swym grzbiecie“ — mówiła Stwórca.

Któż może nie ulec problemom kobiety? Nawet wszechmocny Stwórca stawał się pod jej wpływem ustępliwym i miękkim, jak rozgrzany wosk.

Atyż zaspokoił kolejni kapry kobiety Bóg stworzył lwa. O! Lew to jednak zupełnie coś innego! Nie darmo stał się królem zwierząt.

Groźny i dumny pełen majestatu i siły, o wspaniałej pjasnej grzywie, w której kobieta lubiła zanurzać swe ręce. Niepokonany zapaśnik wśród zwierząt raz po raz przynosił swej panie trofea wojennych wypraw. Mogł też bez najmniejszego wysiłku nosić ją na swym grzbiecie.

I ten najwaleczniejszy z walecznych, postąpił dżemil i w wal się pod dotknięciem jej ręki; cichy jak baranek; ociągając się o jej nogi mrucał z rozosy jak kot i pokornie lizał jej rękę.

Koby to mogło imponować kobiecie, czy to mogło nie uczynić ją prawdziwie szczęśliwą? Tak, kobieta była prawdziwie szczęśliwą... całe 30 dni i 30 nocy. Potem znów zaczęła się nudzić i złościć do tego stopnia, że kiedyś w przystępnej furii swojemu najnowszemu faworytowi lwu, dotkliwie podrapała mordę i król zwierząt podwinąłszy ogon uciekł żal-śliwie wyjąc do Stwórcy na skargę.

Wtedy to dopiero po dłuższym zastanowieniu, zdesperowany Bóg stworzył mężczyznę, który tak pięknie opiewa kobiecie wdzięki jak słowik, umie pieścić i mówić komplementy jak wąż, jest waleczny, silny jak lew, i nie ucieka tchórzliwie gdy kobieta pazurkami „pieści“ mu buzię.

Czy kobieta stała się w końcu szczęśliwą? Chyba tak, bo dotychczas mężczyzna jest niezaspokojony przez nikogo. Ale kto wie jak będzie dalej? Niezbadana jest natura kobiety.

Bogdan Dziemidok

## Ulotka październikowa

W jesienny mokry dzień ulica jechało auto z młodymi ludźmi. Ludzie ci wieźli ze sobą swój entuzjazm, swoją odwagę w walce o dobro i wiary w jego zwycięstwo, swoją głęboką wiarę w sprawiedliwość, wieźli też chęć pracy i walki o sytość dla wszystkich w ich kraju i na całym świecie. Jechali autem, ponieważ chcieli jak najszybciej zarazić swą wiarą, odwagą i entuzjazmem wszystkich, którzy wąpili. Chcieli stare hasła uczynić rzeczywistością dla wszystkich i na codzień, chcieli ściągnąć je z transparentów i umieścić w każdym domu, biurze, fabryce i szkole. To było konieczne i nie poza tym nie miało dla nich sensu. Rozrzucali ulotki.

Ulotki zawierały w kilku słowach wszystko co było dla nich najważniejsze i co było zarazem treścią ich życia. Mówili w ulotkach, że będą walczyć o to, by  $2 + 2 = 4$  dla wszystkich, że idą ku pięknu, dobru, że dotrą do celu bez względu na ołary. Wolali: chodzić z nami!

Spoglądali na szare mury mijanych domów. Przy jednym z nich, bardziej szarym i bardziej ponurym niż inne, dozorca majestatycznie

nie zmiatał ulicę. Rzucił mu ulotkę

Ulotka zawirowała w powietrzu i upadła u stóp dozorcy. „Dobrze trafiliśmy“ — pomyśleli ludzie w aucie.

umieścić wszystko na taczce. Później jeszcze raz zilustrował wzkrokiem ulicę — czy dostatecznie czysta na jego oczekiwania — i skierował taczecę ku śmietnikowi. W. M.



Samochód pomknął dalej — ku fabrykom.

Dozorca nie przerwał zamiatania, nie schylił się, by podnieść rzuczone przez młodzieńca wezwanie. Majestatycznym ruchem, jakim zganiał nawet najdrobniejszych słomkę, zmiótł najpiękniejsze słowa i marzenia młodoci, rozejrział się wokół, czy nie ma gdzieś w pobliżu śladów chłopskiego lub dorozkarskiego konia, spostrzegł kupkę łajna, dopełnił tym łopatek i ciągle z powagą i majestatycznie

## „POD WIATR“

Redaguje kolegium:  
ALINA ALEKSANDROWICZ  
JANUSZ DANIELAK  
ZOFIA DUBLEWICZ  
TYTUS ZDIEDUSZYCKI  
ZYGMUNT EUPINA  
STANISŁAW MARKIEWICZ  
WALDEMAR MIETKOWSKI  
LESZEK SIEMON  
ZBIGNIEW STEPEK  
PIOTR ZBIKOWSKI

Wydawca: Wojewódzki Zarząd Związku Młodzieży Polskiej i Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich.

Adres Redakcji: Lublin, Aleje Raclawickie 1 p. 38 (parter), telefon 13-19. Sekretariat czynny codziennie z wyjątkiem sobót i świąt w godz. 17—19.

Lub. Druk. Pras. — Zam. 3466 23.XI.1956 r. nakł. 5.000  
A-7-649

ZBIGNIEW STEPEK

FRASZKI HISTORYCZNE  
LITERAT — ASEKURANT

Tyle inwencji  
Ile audjencji.

## NIESTETY

Głupi z szują —  
dyskutują.  
Ci co wiedzą —  
cicho siedzą.

JANUSZ DANIELAK

NOTATKI AKTUALNE  
Rok 1956

Ludzie strąceni z foteli znaleźli doskonały sposób obrony: według nich, są strąceni TYLKO DLATEGO, że ktoś inny pragnie zająć ich wygodne miejsca. Broń skuteczna: że niby walka o miejsca tylko, a nie o idee. Zyskuje się szansę, walka staje się równa i wyniki oczywiście nie mogą być wtedy przysądzone.

Doskonale wyrazili to jeden z takich obrońców: „Jakim prawem pchacie się do łobu, który myśmy tak długo budował?“

Marek jest nieświadomym sprzymierzeńcem tych obrońców foteli. Wciąż powtarza ironicznie pytania „Walka klas czy walka kłaków?“

„Studiowałś historie — mówi do Andrzeja — czy kiedykolwiek był taki bagnisty czas? Śmiać mi się chce, kiedy wymawiają mi, że żyjemy w Wielkiej Epoce. Osobiście uważam to za okres Wielkiego Grzęźnięcia. Wieje namby Wielki Wiatr Historii. My reagujemy tylko na małe lenie wateki komunistki. Nastawiamy nie tyle żagle, co kieżenie. Wszyscy mamy jakieś diabelnie KROTKIE sumienia.“

Andrzej odpowiedział, że Marek jest uczciwy, ale jakas mała uczciwość. Nie ukradnie złotówki, ale nie zbaui też świata. Pomyślałem, że może już dość miezbawi tych zbawicieli? Kto wie, czy — gdyby wszyscy ludzie byli po prostu uczciwi — czy to nie zbawiliby świata. To jest jednak utopia i dlatego razie Marka rączki kto ma w końcu rączki. W każdym razie Marka rączki mogą wykorzystać ludzie, którzy bynajmniej uczciwi nie są.

Redaktor N. bardzo długo uczył się myśleć „kategoriami politycznymi“. — To było konieczne — mówi — kto myślał tylko sumieniem, ten nie robił nic.

W październiku jednak sumienie przestało przekładać politykę. Zauważyłem, że redaktor N. był po raz pierwszy naprawdę szczęśliwy.

Potem był bolesny powrót. Znowu „kategorie polityczne“. Jakies zebranie. Redaktor N. Delikatna zmarszcza na czole odcina jego słowa od jego uczuć.

Uczucia — rozrządek. Kto by pomyślał, że o taki banal można się potknąć, potknąć się śmiertelnie.

Kiedys udzieliłem w szpitalu dla obłąkanych małego potworka — dziecko. Rysował bez przerwy ludzkie twarze i potem przekreślał je. My jesteśmy doradzi, nie jesteśmy chyba obłąkami — a jednak wciąż przekreślamy nasze własne twarze.

Życie nauczyło nas nieufności do słów. Zbyszek napisał artykuł — teza ogólna: wszystkie „wielkie słowa“ zdevaluowały się. Nie wiem, nie czytałem tego artykułu, być może Zbyszek trochę przesadził i zajął się nie tylko wielkimi słowami, ale także i wielkimi ideami. W każdym razie w redakcji artykuł mu odrzucono.

Jednak w tezie Zbyska można zauważyć lukę: jest jedno takie słowo, powtarzane przy każdej okazji od setek lat, śpiewane i krzywane, wkłane w przeróżne przymiotniki i dopełnienia, którego jednak czysto, osobny dźwięk wciąż ma jednakową siłę. Chodzi o dość krótkie słowo: Polska.